Nr. 14. Rok I.



Cena prenumeraty: kwartalnie w miejscu 15 sbr., na prowincji 18 sbr. 9 fen., w Krakowie i Lwowie 1 zltr. 20 c., w Galicji i w innych krajach austryackich 1 złr. 40 c.

Poznań, 1 Kwietnia 1871

Redakcja przy ulicy Berlińskiéj Nr. 14. Ajencje: Lwów: Milikowski, Gubrynowicz i Schmidt. Kraków: Friedlein, Józef Czech.

OŁGA,
księżna Ruska.

Naszkicował
ks. Lic. Cht.
(Ciąg dalszy.)

XI.

Pozostaje nam teraz jeszcze druga kwestja: czemu Ołga do Niemiec posły wyprawiła, i co ją do tego spowodować mogło. — Wprowadzamy tu w szranki niemieckiego historyka, a że go często wspominać nam przyjdzie, chcielibyśmy przeto raz na zawsze czytelników naszych z nim zapoznać. Dr. Pichler, o którym mowa, jest jeszcze młodym i do niedawnego czasu jeszcze był prywatnym docentem teologji kat. przy wszechchnicy monachijskiéj. Tamże wydał dwutomowe dzieło, traktujące o schizmie kościoła wschodniego ze zachodnim, i w drugim tomie téjże pracy podał dzieje: „der russischen Kirche." — Zatrzymaliśmy niemiecki napis tego rozdziału, bo przetłomaczyć go dokładnie nie można wcale. Nietylko bowiem o rosyjskim kościele mowa w pracy Pichlera, ale owszem na początku tylko o kościele na Rusi traktuje. I nie mogło być też inaczéj, boć na Rusi był już kościół, kiedy Moskwa nie istniała jeszcze wcale, a o Rosji nikomu się nawet nie śniło. Ale to jest właśnie błędem zasadniczym u niemieckich autorów, że nie umieją rozróżnić Rosji od Rusi i gmatwają rzecz całą pod jedną nazwą „Russlandu." Wszelako pod względem krytycznego traktowania przedmiotu i w ogóle wszechstronną, głęboką erudycją przewyższył Pichler wszystkich niemieckich autorów, którzy dotąd o kościele w Rosji i Rusi pisali. Ale aby dać poznać ducha, jaki wieje w pracy jego — „wes Geistes Kind das ist" — jak mówią Niemcy, dosyć tu nadmienić, że Pichler za tę pracę swoją został powołany pod koniec 1869 r. do Petersburga, gdzie zaszczytne zajmuje miejsce. — Habeat sibi! — Otóż ten p. Pichler pisał także nieco o Ołdze, a mianowicie wspomniał o jéj poselstwie do Ottona; a że to człek bystry, więc dwie temu poselstwu przyczyny nadaje.

A najprzód twierdzi,[1]) że Helena posłała do Niemiec dla tego, że przyjęła chrzest w Konstantynopolu, a więc razem z duchowieństwem greckiem dzieliła wstręt do łacińskiego obrządku. Mianowicie jednak dla tego do cesarza posłała, a nie do papieża, bo – pomijając to, że wówczas była stolica apostolska: „in einer höhst schimpflichen Lage" — uważała Ołga papieża za nic więcéj, jak za takiego patryarchę, jakim był Konstatynopolitański i tak samo go cesarzowi podległym być mieniła, jak był tamten podległym greckiemu cesarzowi. O prymacie nic jéj „z pewnością" nie uczono w Konstantynopolu, a o dwoistéj władzy: duchownéj i świeckiéj, ani komu się śniło na Rusi; bo to właśnie chciałby p. Pichler z góry z całą ścisłością zaznaczyć, że kościół ruski (scil. russische Kirche) zawsze cara za Boga uważał, a kler ruski nigdy o samoistności i opozycji nie marzył. Pojedyncze wyjątki nie stanowią reguły, dodaje wreszcie z ostrożności szan. autor.

Wiele tu słów przytoczyliśmy, szkoda że co słowo, to nieprawda. — A najprzód zwracamy uwagę na to, że jeśli Helena przejęła od greckiego duchowieństwa wstręt do obrządku i duchowieństwa łacińskiego, wtedy nie umiemy sobie wytłomaczyć tego, że posłała po łacińskich misjonarzy do Niemiec. I rzeczywiście mogła tylko nieznajomość ówczesnych słowiańskich stosunków, obok wygórowanéj nienawiści do stolicy apostolskiéj, podsunąć całe to rozumowanie Pichlerowi. Sam bowiem do-

[1]) Pichler: Geschichte der kirch. Trennung zwischen Orient u. Occident. München 1865 T. II. p. 4 – 5.

wodzi w pierwszym tomie swéj pracy[1]), że właśnie pod onczas, kiedy się Olga chrzciła, nie było rozdwojenia między Konstantynopolem a Rzymem, czyli innemi słowy, że patryarcha był uległym papieżowi, a więc ucząc Olgę zasad wiary katolickiéj, nauczył jéj też „z pewnością“ i tego, że Piotr św. jest opoką i podwaliną całego Kościoła. Co więcéj „na onczas nie było żadnéj jeszcze niechęci ani wstrętu pomiędzy obrządkami: łacińskim i greckim, a gdzie był jednego obrządku biskup, tam drugiego nie było potrzeba i słowiańskiego obrządku Chrześcianie, łacińskiego obrządku biskupa uważali za swego.“ I ztąd też Borys bułgarski „słał gońce do cesarzy rzymskich, do Niemiec, do Carogrodu, do Rzymu do papieża, wzywając kapłanów, to greckich, to łacińskich, szukając światła to ztąd, to z indąd[2]). — Jeszcze późniéj i po czasach, w których żyła Helena „kapłani“ obrządku łacińskiego w Czechach, chociaż znaczeniem i posażnością wyżsi, nietylko zachowywali przyjaźń z ludźmi obrządku greckiego, albo, co znaczyło to samo, bułgarskiego — ale nawet przybierali z ich duchowieństwa tego i owego na kanonika kościoła poświęconego św. Witowi — a ci odprawiali nabożeństwo w osobnéj kaplicy swoim obrządkiem itd.“[3]) — A i to powinno było panu Pichlerowi być wiadomem, co żywociarze św. Wojciecha opowiadają o nim, że był wychowanym właśnie w greckim obrządku i że sam chciał (991) wstąpić do greckiego klasztoru św. Michała blizko Baru, gdzie był hegumenem św. Nilus.[4]) Jedyna tylko ruska legenda o św. Kiryle, wydana w Moskwitaninie (1843) prawi o św. Wojciechu, że zniszczył wiarę prawosławną i słowiańskie pismo odrzucił, obrazy prawosławne popalił, biskupów — jedych pozabijał — drugich rozegnał[5]) — ale to są brednie wierutne.

[1]) Pichler l. c. T. I. p. 180 n. 129.
[2]) Lelewel: Pols. w. śr. T. IV. p. 523 — i p. 519.
[3]) Paul. Strauskii resp. Bohemiae VI. 17 ex offic. Elzevir. 1634 p. 287 — 8.
[4]) Vita sancti Adalberti per Johan. canapar 15, p. 587 edit. Pertz; per Brunon. 13, p. 601: „Nec mora ivit ad maguum virum Nilum etc.“ Lelewel D. W. śr. p. 523 n. 43.
[5]) Moskwitanin 1843 T. III. p. 805. u Bielowskiego: Wst. Kryt. p. 509. u Lelewela: Pols w. śr. T. IV. p. 523 n. 42.

Że tedy Olga do cesarza posłała po misjonarzy, a nie do papieża, mogły być tylko powody czysto lokalnéj natury, a w każdym razie, czy ztąd, czy z onąd, prosiła przecież o katolickich kapłanów, i o tem zapominać się nie godziło.

Trzebaż było wreszcie zasadniczo fałszywego pojęcia charakteru Słowian i braku rozróżniana Moskwy od Rusi, aby wypowiedzieć zdanie, że car zawsze był w kościele ruskim uważanym za Boga. Bo przecież były czasy, gdy 32 prawie kniaziów władyczyło na Rusi — którego zaś z nich nazywano carem i którego z nich kościół na Rusi miał za Boga, to już chyba dla nas zagadką musi pozostać. Tyle pewna, że dobrze w 400 lat po czasach Olgi, począł się zwać kniaź na Suzdalu carem — ale na Rusi nigdy cara nie było.

Wszystko jednakże, cośmy dotąd powiedzieli, jest niczem w obec twierdzenia Pichlera, że Olga dla tego wyprawiła poselstwo do cesarza niemieckiego, bo ciągnęło ją do niego powinowactwo krwi, i że ztamtąd chciała pomocy na utwierdzenie tronu swego nad zgrają na wpółdzikich Słowian. Słowem: Olga była Niemką: „war germanischer Abkunft“ jak mówi Pichler.[1]) Tego samego zdania jest uczony profesor Gfrörer w dziele swojem o Grzegorzu VII., o którymeśmy już wyżéj wspomnieli. — Na szczęście powiedzieliśmy już na wstępie naszéj pracy, że Olga pochodziła z linji kniaziów Pskowa[2]), a nie z Rurykowiczów. Niechby więc sobie w waregskich Rurykowiczach, których dziad ze Skandynawji przybył, płynęła krew Germanji — ale już co nasza Olga — to już była sobie słowiańskich niw rodowita córa, najczystszéj krwi i wody. — Zapomnieli atoli obaj uczeni, że przecież właśnie dla tego, że Skandynawskich Waregów język był niemieckiemu pokrewny, powinni byli misjonarze, przybywający z Niemiec, być dobrze przyjęci na Rusi. A skoroć tak niemile ich przyjęto, ba nawet wygnano niegrzecznie, wnosić ztąd koniecznie musimy, że Słowianie wzięli już za Światosława górę nad najezdniczym waregskim żywiołem.

(Dokończenie nastąpi.)

[1]) Pichler l. c. T. II. p. 4. not. 5.
[2]) Stebelski: Dwa wielkie Światła i t. d. Lwów. 1866. T. I. p. 21.

Pod jednym dachem.

Powieść

przez

Wołodego Skibę.

(Ciąg dalszy.)

VI.

Dantejska podróż panny Izy przez piekło obaw i czyściec oczekiwania do raju stanowczéj pewności, że jest kochaną.

Z dwóch tedy stron bramy zawsze zamkniętéj, którą można było wjeżdżać bodaj sześciokonną karetą na podwórzec Babiéj wyspy, choć tego nawet skromnym wózkiem, jak daleko wiadomości historyczne sięgają, nikt nie próbował, — w dwóch najgłówniejszych lokalach, u gospodarza i u doktora, dwie piękności, z niejakim niepokojem a większą daleko niecierpliwością, oczekiwały na rewizytę Pilskiego.

Niepokój pani Tuckiéj był więcéj ekonomicznéj, niepokój panny Izy całkiem romantycznéj natury. Tamta się obawiała, żeby młody sąsiad, przychodząc niespodziewanie, nie zastał w domu nieładu, a w jéj ubraniu czegoś nieestetycznego i nieobliczonego na efekt; ta całą ekonomiczną stronę przyjęcia gościa pozostawiała siostrom gospodarnym, sama tylko w kwiatki świeżuchne przystrajała mieszkanie i sploty swych włosów, a drżała jedynie o to, aby młody sąsiad opóźnieniem odwiedzin nie dał dowodu zastygającego serca.

Niestety! Pilski nie bardzo spieszył z odwiedzinami, a niejedna okoliczność tym czasem złowrogie nasuwała pannie Izie domysły.

Przedewszystkiem pokazało się, że doktór nie czekając rewizyty, zaraz nazajutrz z rana pospieszył powtórnie do sąsiada, i godzinę, którą zwykle przechadzce poświęcał, co do jednéj minuty u niego przepędził.

Panna Iza, stosownie do humoru, który przez czas oczekiwania zmieniał się jéj co chwilę, tłomaczyła sobie ten wypadek na dobre albo na złe.

— Spodziewałam się tego, — mówiła do sióstr, gdy chwilowo nie miała w nosku tego, czem eleganckie panie przystrajały sobie dawniéj twarze i noski, — spodziewałam się... przewidziałam!... Doktór poszedł, żeby go do nich ściągnąć, ale on niegłupi... nie obiecał na-

wet, że przyjdzie... więc dziś pan konsyljarz przypuścił szturm powtórnie...

— To prawda, — wtórowała panna Eleonora.

— I myślicie, że mu się uda? — pytała, spoglądając po siostrach, panna Iza.

— Ale gdzie znów?... zkądby mu się udać miało?... — rzekła panna Teodora z przekonaniem.

— Widzicie... widzicie... A do nas, to jak mu tylko ojciec szepnął słówko, żeby przyszedł, zaraz powiedział, że przyjdzie z ochotą...

— Tylko, jeżeli ma przyjść, czemuż zwleka? — zagadnęła panna Eleonora.

— Albo ja wiem!... może kto plotki przed nim na nas robi?...

— I któżby?

— Tucka.. przez męża!...

— Cóż znowu?... doktór Tucki przecież nie plotkarz.

— Więc jeżeli nie on, to chyba wy musiałyście czem dokuczyć panu Pilskiemu... czem go odstręczyć, zrazić... — rozgniewała się panna Iza, — bo już ja wiem, że wy mi zawsze na przeszkodzie stoicie... Jesteście starsze, chciałoby się wam wprzód... a cóż ja biedna winna temu jestem, żem młodsza?...

Siostry zdziwione, spojrzały po sobie.

— Zkąd ci znów takie myśli, Iziu, — rzekła panna Teodora, żegnając się.

— To jest czarna niewdzięczność tak nas oskarzać, Iziu, — dodała z wyrzutem panna Eleonora.

— No, to jeśli nie wy, to doktór...

— Naturalnie... prędzéj doktór, niż my.

— Więc same powiadacie, że doktór, — mówiła panna Iza, — tak, tak, nikt inny, tylko on... Ale co on mógł na nas naszczekać?...

— Albo ja wiem? — wzruszyła ramionami panna Teodora, — może nam lat pododawał?...

— Oczywiście, najpewniéj lat nam pododawał, — potwierdziła panna Eleonora, — a przytem...

— Cóż przytem? — ciekawie zapytała panna Iza.

— Mógł powiedzieć... — z niejaką nieśmiałością mówiła daléj panna Eleonora, — że ty... Iziu...

— Że ja, że co?...

— Że ty farbu...

Panna Iza zerwała się z krzesełka i przyskoczyła do siostry, nie dając jéj dokończyć.

— Że ja farbuję sobie włosy!... patrzajcie! i ona na mnie!... wiesz przecież dobrze, że to tylko taka pomada...

— Ależ wiem, wiem, Izieczko.

— Że to tylko, żeby nie wypadały...

— Ależ wiem, Iziu.

— A że się od tego trochę i kolor włosów zmienia, to cóż ja winna?... przecież ja sama sobie nie robię téj pomady!...

— Iziu... po cóż ty się tłomaczysz?.... ja przecież wiem to najlepiéj, — powtarzała przelękniona gniewem siostry, średnia panna Rękalska.

— No, to kiedy wiesz, — przyparła ją do ściany panna Iza, — to po co gadasz, że ja sobie włosy farbuję?....

— Patrzcie!.... to ja gadam!.... czego ty mi dokuczasz, Iziu?... — rozrzewniła się panna Eleonora i poniosła chustkę do oczu.

Płacz u młodszych panien Rękalskich był widać zaraźliwym, bo i panna Iza również chusteczką lica sobie zakryła i zawołała:

— Widzicie! mówi, że ja farbuję włosy i gada, że to ja jéj dokuczam.

Dwie siostry płakały, trzeciéj przypadła rola rozjemczyni. Panna Teodora, z natury mniéj tkliwa i zapewne prawem pierworodztwa najrozsądniejsza, z ochotą podjęła się téj roli.

— Macie czego beczeć obydwie?... wstydź się Leosiu, wstydź się Iziu!...

Macierzyńskim tonem wypowiedziana admonicja niebardzo poskutkowała. Potrzeba było kategorycznie wyłożyć pannie Izie, że panna Eleonora nie posądzała jéj za siebie, ale tylko imieniem doktora Tuckiego.

— Zkądżeby doktór Tucki mógł wiedzieć o tem?...

— Naturalnie od żony....

— A zkądżeby żona?...

— Ba! czegóż się nie dowie kobieta, zwłaszcza też taka, jak ona?... Kazia widziała cię raz, jak sobie włosy... pomadowałaś, i musiała jéj wypaplać....

— Ach! ta Kazia!... nauczę ja ją!...

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Z Moich Wspomnień.

O życiu towarzyskiem w Warszawie

przez

Paulinę z L. Wilkońską.

(Dalszy ciąg).

Dzień 2go marca.

W lutym r. 1855 o niczem nie mówiono w Warszawie, jak o wojnie z Austrją — i zdawało się, że armja rakuzka lada dzień granicę Królestwa Polskiego przekroczy. Już był nadszedł rozkaz wywiezienia kas i archiwów do Kijowa, dokąd także i senat miał się udać bezzwłocznie. Słyszałam to z ust sędziwego senatora * — któremu ciężko przychodziło opuścić rodzimą Warszawę i domowe wygody, — a pójść jakoby na wygnanie. I któż mógł przewidzieć, na jak długo?!

Dnia jednego rozpoczęto nagłą przewózkę wszelkich przyborów wojskowych na Pragę, do czego nawet koni dorożkarskich użyto — że i trudno było o dorożkę przez dni parę. — Mówiono, że wojsko całe wyjdzie na prawy brzeg Wisły, a pozostanie tylko żandarmerja, dla utrzymania porządku w mieście i jako straż tylna.

Jest także charakterystycznem, że w rodzinach rosyjskich dzieci straszono Austrjakiem — jakby kominiarzem.

Książę Paszkiewicz wrócił z Petersburga, a dobrze poinformowani wiedzieli, że przywiózł ze sobą rozkaz uwłaszczenia chłopów.

— To, czegośmy pragnęli od dawna, a napróżno, będzie w obecnych okolicznościach jako broń dotkliwa przeciwko nam użyte! — słyszałam obywateli rozumujących i następstw lękających się groźnych.

Bóg dobry zrządził inaczéj. —

Dnia drugiego marca było nas dość liczne grono u pani * na herbacie. Nikt nic nie posłyszał, że car jest chory. Wtem przybywa pani ** i opowiada:

— Coś dzieje się dziwnego. Jenerał Igelström, który ze mną w jednym mieszka domu, jeździł trzy czy cztery razy do zamku, przez księcia wezwany. Za każdą razą z chmurniejszą powracał twarzą — i cicho rozmawiał z żoną — jak służba rozpowiadała po domu. Przybywali do niego wyżsi oficerowie, i zamykał

się z nimi w osobnym pokoju. A gdy raz ostatni wrócił z zamku, pod wieczór, jenerałowa rozpłakała się głośno.

— Wielka przegrana na wschodzie.

— Cesarzowa umarła.

— Rewolucja pałacowa... — i tym podobne czyniono domysły.

Wtem nadszedł gość nowy i opowiedział, że kasę teatralną i teatr zamknięto nagle, gdy widzowie już poczęli się schodzić.

— Niezawodnie cesarzowa umarła!

— Mówią, że car... — wyrzekł nowoprzybyły z cicha — boć to groźna była nowina!

— Niepodobna!

— Przecież nie chorował.

— Powozy jenerałów uganiają po ulicach.

— Wezmę sanki — odezwał się pan Ludwik * — pojadę do Lursa, wbiegnę do resursy, to przecie dowiem się czegoś.

Wyszedł — i niebawem posłyszeliśmy oddalający się dźwięk sanek.

Urywała się rozmowa. Zapomniano o literaturze — o muzyce — bo jedna tylko nas wszystkich myśl zajmowała.

W trzy kwadranse niespełna pan Ludwik powrócił.

— A co?

— Co? co? — pytano skwapliwie.

— Car Mikołaj umarł.

Zdumienie owładło wszystkich — i przez sekund kilkanaście głuche potrwało milczenie. Poczem ozwały się głosy:

— Żartujesz chyba!

— Niepodobna!

Nie wiedzieliśmy o chorobie.

— Nadeszła telegraficzna wiadomość przed trzema godzinami — opowiadał pan Ludwik poważnie — umarł! A poprzednio telegraf po trzy razy przynosił wiadomość: że chory — że bardzo chory — że jest niebezpieczeństwo życia. Ale to wszystko dzisiaj dopiero.

Niektóre rozjaśniły się twarze. Drugie wyraz szczególnéj przysłonił powagi. Splotły się dłonie — potrząsano głowami. A inni znowu pełniejszą odetchnęli piersią.

I Polska niby swobodniéj odetchnąć mogła!! —

Instynktowo — może w niewieściem przeczuciu, które we mnie odezwie się nieraz — zadumałam się trwożnie. Za co nazwę pesymistki zyskałam. Gdy raczéj kiedyindziéj wszystko w różanych, jasnych chwytam kolorach. Łudzić się lubię — łudzić się umiem — łacniéj dodatniéj dopatrzę się strony, aniżeli ujemnéj. A niekiedy nawet i wymarzę ją sobie! — Drugiego marca wszelako byłam pesymistką — sama nie wiedząc dla czego.

Rozprawiano — głośno, ochoczo. I wreszcie zdobyłam się na pytanie:

— A cóż będzie teraz z wojną na wschodzie?

— Potrwa daléj! Większe przybierze rozmiary!

— A sprawa nasza pod każdym względem szczęśliwszy weźmie obrot. Aleksander jest człowiek dobry, łagodny, miękkiego serca...

I opowiadano różne rysy z jego życia. Pomiędzy innemi i o pani Michalskiéj, któréj mąż był w kopalniach — za sprawę Szymona Konarskiego. Pojechała biedna do Petersburga, i w rozpaczy rzuciła się z prośbą w ręku pod konie carewicza Aleksandra, następcy tronu, pędzącego faetonem przez ulice. Faeton przez nieszczęśliwą przeleciał. Carewicz wyskoczył, sam skrwawioną, zemdloną podniósł ze ziemi — a łzę miał na oku! — Odwiózł ją do mieszkania. Przysłał lekarza swojego. Łożył koszta wszelkie... — Michalski wszelako dłużéj jeszcze na Sybirze pozostał.

Pocieszano się nadzieją różną — i różnie. Wreszcie i mnie zrobiło się lżéj i pogodniéj.

Pogadanka żwawo toczyła się daléj. Nie mówiono jednakże już o niczem innem, jak o téj śmierci. — Bo i czyliż podobna było mówić o czem innem i myśleć?

Rozeszliśmy się po godzinie pierwszéj z północy. Na ulicach było pusto — cicho — tylko śnieg zmarzły pod stopami skrzypiał.

— Twierdzą, że dusza opuściwszy ciało, błąka się czas pewien wśród świata pokutnie, w miejscach niedopełnionych obowiązków — grzechu — winy — występku — zbrodni... — wymówiłam do pana *, podającego mi rękę. — Zatem duch cara Mikołaja snuje się teraz może wśród tego grodu łez i ofiar krwawych... — Spojrzałam na cienie długie, niby ciemne tworzące postacie, pociągana w rozmarzeniu chwilowem fantazmagoryjnem widzeniem.

— Duch jego, zaprawdę, mógłby tutaj pobłąkać... — odrzekł mój towarzysz.

W tém, gdyśmy z ulicy Wareckiéj na Nowy-świat skręcali — nadchodził oficer rosyjski, wysoki, w szarym płaszczu... stuk jego stopy rozlegał się z głuchym odgłosem wśród pustéj ulicy.

— Może to on?! — podszepnął pan * z półuśmiechem.

— Chi lo so? Któż to wie? — Potrzebaby zagadać do niego.

— Mam szczerą ochotę. Zapytam o godzinę...

Oficer nas minął — a zdawało się, że był bardzo blady. - Ale co też nie wydaje się czasem! —

Jeden ze znajomych moich również o późnéj godzinie powracał do domu. Przechodząc obok mieszkania przyjaciela, mieszkającego na piętrze, zobaczył światło w dwóch oknach: znać pracował jeszcze. Domyślił się, że nie wychodził może — że nikt mu dotąd ważnéj nie udziedlił nowiny — i zastukał we drzwi.

Przyjaciel okno otworzył i zapytał:

— Kto tam?

— Stacho.

— Wiesz?

— Nie wiem.

— Dead! Dead!

— Dead? She?

— He! — Dobra noc!

Dobra noc!

Jeden pobiegł daléj. Drugi okno zamknął. — Światło z dwóch okien aż niemal do rana biło na plac bankowy. Znajomy mój wszelako już nie zasiadł do pióra — tylko pokój chyżą przebiegał stopą — różnemi gnany myślami.

Nazajutrz rano — dwóch stróżów przed kamienicą, w któréj mieszkałam, umiatając chodniki, tak powitali się, przedrzeźniając język rosyjski:

— Wot Mikołajuszka pomir!

— Je Boh! haraszo!

Około południa przyszedł do nas Apolinary Zagórski, blady, ponury.

— Umarł! wymówił, rzucając się, jakby wysilony na krzesło, bo zawsze był słaby bardzo.

— Śmierć ta będzie wielkiéj doniosłości — odrzekł ktoś z obecnych.

— Chciał umrzeć...... i umarł! — Pan Apolinary niby więcéj pobladł jeszcze. — Byłem sam. Położyłem się wcześnie, zasnąłem. W tém budzę się nagle.... I jak gdybym głos posłyszał ponury: „Umarł! A umarł w grzechu!“ — Senne znowu owładło mnie znużenie. Lecz głos ten powtarzał się ciągle. — Rano dowiedziałem się, kto umarł. — Umarł w grzechu! Módlmy się za jego duszę! Módlcie się panie! — powstał po chwili i wyszedł.

Był to zapewne szczyt najszlachetniejszego, najreligijniejszego uczucia — miłość ewanieliczna — najwyższa miłość chrześciańska, ażeby modlić się za sro-

giego ciemiężcę Polski! — I myśl taka mogła zrodzić się tylko w przeczystéj duszy Polaka-katolika.

Jedni nazwali to chorobliwością. Drudzy ramionami ruszyli... — Na mnie wszelako Apolinary Zagórski wyrazami swojemi: „Umarł w grzechu! Módlmy się za jego duszę!“ silne zrobił wrażenie — i pamięć téj chwili niezatartą pozosłała.

Pod względem towarzyskiego życia, niemasz, jak Warszawa! I pod względem serca polskiego — wszelkich objawów miłości kraju i współbraci — poświęceń — ofiar — wszędzie i zawsze przewodniczy ta matka zapłakana i wdowa żałobna po wielkim narodzie! — Niby uśmiechnięta niekiedy — bo wielką rozpogodzona nadzieją i wiarą. — Niby zapominająca o ranach — ale umiejąca je koić. Bo warszawska ludność — jest najpierwszą ze wszystkich.

Szczęsną dla kraju nowiną, nadzieją polską, jakżeż dzielą się skoro i bratnio! — Jedno biegnie z nią do drugiego. Witają się na ulicy pytaniem: „Wiesz?“ — „Wiem?“ — i każdy z uśmiechem spieszy daléj, by pociechę własnego serca ponieść i drugim. —

W roku 1848ym, pierwszą wiadomość o dniach lutowych otrzymał bank królestwa. I jeden z przyjaciół naszych, — ś. p. Ludwik Ziomecki — urzędnik bankowy — przybiegł do nas z tą nowiną, bez czapki na głowie, która gdzieś zarzuciła się w téj chwili. A mieszkaliśmy przy ulicy Senatorskiéj, wprost filarów teatralnych! —

Pamiętam — a pamiętam na zawsze 17 marca 1846 roku — dzień egzekucji: Stanisława Kociszewskiego i Władysława Żarskiego — którzy młode życie na szubienicy skończyli; — a zarazem dzień mąk Stefana Dobrycza, Michała Mireckiego, Karola Ruprechta, Jana Lityńskiego i Andrzeja Deskura. — Od rychłéj godziny porannéj aż po północy pełno u nas było osób. Jedni przez dzień cały pozostali. Drudzy wchodzili i wychodzili, niemogąc wybyć na miejscu. Łudziliśmy się łaską z Petersburga.... Bo mówiono o ułaskawieniu pod szubienicą, na mieście — jak to zwykle głoszą o łaskach, jakby dla ironji! — Zostawaliśmy w febrycznym niepokoju. — W tém wchodzi ktoś do pierwszego pokoju-- był to p. Kazimierz Kossowski — i mówi głosem przez żal złamanym: „Już po egzekucji....“

Krzyknęłam — i upadłam z gwałtowném ściśnieniem serca na ziemię. Poczciwi przyjaciele nasi wybiegli doktora poszukać. Przybył — zacny, szlachetny lekarz i przyjaciel — a był sino-blady — zdrętwiały — jakby bezprzytomny.... Mam go przed oczami — i nie zapomnę nigdy.

Po chwili słyszymy nie płacz, ale ryk w kuchni. Służący nasz, młody chłopak, pobiegł wraz z drugimi na plac egzekucji pod cytadelę. Gdy ujrzał oprawców i ofiary, w rozpaczy bezsilnéj zemsty — w ekstazie wszystkich uczuć wzburzonych — podjął kamień i rzucił nim w głowę oficera od żandarmów, którzy plac otaczali. Zrobił się rozruch... Tłum przelękły — poczciwy — popchnął chłopaka w środek. — „Uciekaj! Zmykaj!“ — wołano zcicha — i popychali go jak piłkę. — To téż uciekał — bezprzytomnie — raczéj instynktowo tylko. Uciekał bez wytchnienia — dopóki w domu nie stanął, przy ulicy Senatorskiéj. Potem upadł wysilony na ziemię — wróciła przytomność — i ryczał z duszebnego bólu.

Późniéj przyszedł Teofil Lenartowicz — zmieniony, jak gdyby był z trumny powstał. Trupioblady — a włosy niby jeżyły się na głowie. Widział z oddalenia szubienicę — i dramat straszliwy... —

— Czułem obowiązkowo — wyrzekł — że powinienem był pójść i widzieć... By tą pamięcią serce na całe zakrwawić życie.

Zatem i w dniu trzeciego marca, po tak ważnym dla Polski wypadku — przeważnym w nieprzewidziane następstwa — mnóstwo przychodziło osób. Całe towarzystwo polskie silnego doznało wstrząśnienia — i osłupienia... — że się tak wyrażę.

Mówiąc o życiu towarzyskiem w Warszawie, miałam tylko zamiar świątlejsze w pamięci pochwycić smugi — gwiazdki niebieskie — niezabudki i róże. Ale możnaż było przy tym wytrwać programie? — Dzień drugi marca niepodobna było pominąć. A za nim wierna pamięć tak łatwo i inne przywołała wspomnienia. — Czyliż odpowiadamy za łzy, któremi mimowolnie zajdzie źrenica? — Czyliż i piosenka, wesoła nawet — także, mimowoli rzewnym niekiedy, wśród raźniejszych, nie odbrżmi tonem? — Och, bo w krainie lez i niedoli struny liry smętną tylko dźwięczą nutą!

KRONIKA TYGODNIOWA.

Rzecz dziwna, godna zastanowienia — w tym naszym bynajmniéj nie humorystycznym wieku, z każdym dniem więcéj rośnie pism humorystycznych. Ani wieści z zewnątrz ani niewesołe wewnątrz stosunki nie usposabiają do humoru, a przecież... u nas pism humorystycznych co nie miara!

Dziwny bo też jest ten ich humor; to co powiedziano o najpierwszym z naszych humorystów, o Kostrzewskim: że śmieje się przez łzy możnaby też do wszystkich tego rodzaju publikacji zastosować, z tą jednak różnicą, że połowa z nich gryzie — czy „sercem“ wedle słów autora Beniowskiego?... nie wiem, ale mimowoli nasuwa się powątpiewanie patrząc n. p. na harce Warszawskiéj arcy niehumorystycznéj Muchy rzucającéj się z całą upartą zajadłością iście letniéj muchy na Przegląd Tygodniowy i jego redaktora. W lepszéj połowie tego gatunku czasopism od chwili do chwili spotkasz się z gorzką ironją pokrytą źle udanym śmiechem, bo nie każde jak warszawski „Kurjer świąteczny“ zaśmiać się umie lub chce śmiechem opasłego Szekspirowskiego Falstafa. — Dawniéj mniej było pism humorystycznych ale były one innego jakiegoś pokroju — może pamiętacie owego, wesołéj pamięci Momusa Aloizego Żółkowskiego, wydawanego zazwyczaj na półarkuszu niezbyt oczyszczonéj bibuły? Jakaż wesołość, jakie życie tryskało z każdéj owego pisemka litery śmiać się trzeba było tym śmiechem zapomnienia o wszystkiém prócz obecnéj chwili.

Po Momusie wziął berło wesołości „Śmieszek“ ale nie doścignął on swego poprzednika ani werwą, ani humorem, mimo to o ileż prześcignął swych następców. Potem wydawano: „Szubrawców,“ „Wolne Żarty“ i inne tego rodzaju pisma, ale pierwotna Momusowa barwa ścierała się z nich coraz bardziéj a natomiast przybierały one inny charakter. Snać naszemu wiekowi krwi i spekulacji, zwłaszcza też u jego schyłku, śmiech nie jest do twarzy, bo co chwila opada on, jak tynk, z naszych pism humorystycznych. Najlepiéj jeszcze wychodzą galicyjskie, co jak Djabeł lub Szczutek na polityce ostrzą sobie zęby, dla warszawskich pole to zamknięte, a jest ich aż trzy w saméj Warszawie bo do dwóch wyżéj wymienionych dodać należy „Kolce“ pod redakcją p. Dzikowskiego a i każde inne illustrowane pismo ma swoją mniéj więcéj stałą rubrykę dla odrobiny humoru lub pseudo-humoru, ba, nawet poczciwe prowincjonalne gazetki mają swoich dwóch gawę-

dziarzy, przez których usta obrabiają jak mogą sławę bliźnich swojéj prowincji lub obznajmiają szersze koło publiczności z wydarzonemi skandalikami, zajściami itp.

W Galicji, gdzie jak powiedzieliśmy pisma te mają szerszą arenę popisu, prócz Djabła i Szczutka wychodzi jeszcze Chochlik, a z dniem 1go kwietnia zwiększa to grono: „Coś, dwutygodnik illustrowany bez illusttracji,“ który wychodzić będzie w Krakowie pod kierunkiem jednego ze znanych humorystów. Przedewszystkiem zwraca uwagę nadzwyczaj tania cena tego pisemka. W całych Niemczech kosztować ono będzie 1 talara rocznie, 7 sgr. 6 fen. kwartalnie. Oprócz ceny przemawia za tem pismem znane powszechnie imię wydawcy.

* * *

Obok tego nowo zapowiedzianego pisma, które nie jest jedynem zapowiedzianem na przyszłe ćwierćrocze jak to czytelnikom naszym już donieśliśmy tu i owdzie nowe pojawiają się książki; do tych przedewszystkiem należy „Królewska para“ przez Trzywdara Tretjaka. Bohaterami tu jest owa para, na któréj cześć tylu śpiewało poetów, a która w ostatnich latach natchnęła dwóch znakomitych naszych malarzy Matejkę i Simlera, że pędzlem opowiedzieli tak pięknie zenit i nadyr ich wielkiéj miłości; pierwszy przedstawił Zygmunta i Barbarę w najwyższym szczęścia rozkwicie, — drugi w największéj życia boleści. Autor świeżo wyszłéj powieści historycznéj, z zakrojem poematowym, osnuł ją również na tych miłosnych dziejach, a trudne miał zadanie, choćby już przez to samo, że tylu innych przed nim jak Feliński, Odyniec, Niemcewicz śpiewało na ten sam temat. Rozbiór obszerniejszy „Królewskiéj pary“ na przyszłość odkładając, tu poprzestajemy na pobieżnéj wzmiance. Również wspomnieć należy o szkicu dramatycznym, jak go zatytułował autor, umieszczonym w odcinku Kraju, Wł. hr. Koziebrodzkiego, twórcy kilku znanych a udatnych salonowych komedyjek. Nowością ani treści ani formy nie grzeszy Klaudja; jest to jak świat stara historja o młodéj a niewiernéj żonie, starego, kochającego męża; ani włoskie niebo, ani wiek VII, w którym się to dzieje, nie zdołały nową barwą powlec tego zużytego tematu.

Oprócz dwóch wyżéj wymienionych prac beletrystycznych, napotykamy dziełko poważnéj już natury ks. prof. Dr. Respądka p. n.: Ojczyzna ze stanowiska chrześciańskiego.

* * *

We Lwowie dnia 12 b. m. założono czytelnię ludową. Podobne czytelnie są znakomitą pomocą w kształceniu naszego ludu, dla tych biednych, żyjących wśród cieniów życia codziennego, wśród ciągłéj troski o chleb powszedni, jakąż rozkoszą musi być ta odrobina słońca przedostającego się szparą do ich ciemnicy. Gdyby przyszło ubogiemu rzemieślnikowi choćby tylko parę złotych miesięcznie na przyjemność czytania wyrzucić, zdałoby mu się to niepotrzebnym wydatkiem, przed którym cofnąłby się prawdopodobnie, taż sama przyjemność, przychodząca darmo daje mu zwolna przyzwyczajenie i zamiłowanie w czytaniu, uczy go myśleć a z czasem do poważniejszych prac naukowych zachęca. W ogóle u nas dla oświaty ludu, mimo górnolotnych frazesów, które od czasu do czasu słyszeć się dają, bardzo nie wiele się czyni, nie ma wydawnictw ludowych, dzieł dobrych, pożytecznych, któreby za bajecznie tanią cenę mógł nabywać nasz włościanin lub miejski wyrobnik. Zbyt wielu ludzi mówiło w tym przedmiocie, to też nie chcę tu powtarzać tego, co tylokrotnie słyszeliśmy — dziś już nie na słowa ale na czyny pora.

* * *

Śmierć w ostatnich czasach znaczne poczyniła wyłomy w szeregach znanych ludzi: W Paryżu zakończył pełne pracy a zasług życie Leonard Chodźko, autor: Historji legji włoskiéj 1829 r., Pologne illustrie, Żywota Kościuszki, wydanego w polskim i francuzkim języku staraniem zmarłego niedawno Leona Zienkowicza, Życia Kazimierza Puławskiego, Les massacres de Galicie et Cracowie 1846 i wielu innych prac; w Konstantynopolu umarł Władysław Siemieński, czynny w powstaniu 63go roku i na polu ojczystéj literatury pracownik; w naszem mieście ks. biskup Stefanowicz powszechnie szanowany i ceniony kapłan. — Z obczyzny dochodzi nas wiadomość o śmierci kompozytora Mercandantego i uczonego historyka Gerwinusa, autora „Dziejów XIXgo wieku.“

Σ.

Korespondencje: Z Krakowa. Z ziemi Warmińskiej.

Kraków, 20 marca 1871.

Spokojny gród Krakusa, gdy mu przyjdzie witać tak znakomitego męża, jak Kraszewski, umie się rozruszać, umie uczcić całem sercem, całą duszą dostojnego gościa. Życie naszego miasta w ubiegłym tygodniu skupiło się w okół pana Kraszewskiego, ubiegano się o lepsze w oddaniu czci powieściopisarzowi, jakiego drugiego Polska nie ma i nie miała. Stronnictwo wsteczne, obrzucając go błotem, sądziło, że zagłuszy zasługi Kraszewskiego, — i rzeczywiście, kto krakowski dziennik „Czas“ uważa za organ naszego miasta mógł sądzić, że pojawiwszy się w murach starego grodu p. Kraszewski, dozna jeżeli nie niechęci, to przynajmniéj obojętności, tymczasem było zupełnie przeciwnie. Krakowianie nie podzielają zdania partji ultramontańskiéj, czego właśnie najoczywistszy okazał się dowód.

Pan Kraszewski uproszony przez młodzież akademicką, dla poświęcenia kilku odczytów na dochód Towarzystwa Bratniéj pomocy w uniwersytecie Jagiellońskim, przybył do Krakowa i dnia 13. marca miał pierwszy odczyt w sali Towarzystwa Naukowego. Inteligencja krakowska zapełniła szczelnie, rzekłbym przepełniła wielką salę posiedzeń. Gdy się ukazał na katedrze szanowny prelegent, powitano go nieustającemi hucznemi oklaskami. Płeć piękna zajęła dwieście kilkadziesiąt krzeseł, a męzka tłoczyła się gdzie mogła, aby uczestniczyć na odczycie. Pan Kraszewski na ogólną pociechę, pomimo tylu cierni i pocisków ze strony nieprzyjaciół sprawy narodowéj doznanych, powierzchownie wcale się nie zmienił od czasu pobytu w Krakowie przed kilku laty, życie tryskało z każdego słowa, czytał z werwą pełną humoru powieść pod tytułem: „Przygody Marka Hinczy.“ Zbyteczną byłoby rzeczą rozwodzić się nad tem arcydziełkiem powieściowem, jestto jeden więcéj z jego wybitnych obrazów z przeszłego stulecia. W czterech odczytach zamknął prelegent całość, zawsze obsypany hucznemi oklaskami przy rozpoczynaniu i po ukończeniu odczytu.

Oprócz tego już po przybyciu do Krakowa uproszono pana Kraszewskiego o dwa inne odczyty, naturalnie zaimprowizowane, bo przygotowany do nich nie był. Jeden „O postępie“ w stowarzyszeniu Postępu, który cały podał w odcinku Kraj Nr. 65. z dn. 19 marca, a drugi w Muzeum Przemysłowem! „O stanowisku kobiet w obec pracy narodowéj.“ Słowa ze serca płynące trafiły do serca licznie w Postępie zebranych słuchaczów i słuchaczek, poczem rozpoczęła się uczta urządzona na cześć dostojnego gościa przez członków tego licznego u nas stowarzyszenia. Blizko dwieście osób zasiadło do stołu, obok p. Kraszewskiego zajął miejsce ulubiony, sędziwy poeta, Wincenty Pol. Następowały

po sobie serdeczne, braterskie przemowy, z których największym zapałem odznaczała się mowa p. Chotomskiego.

To się działo 16. marca, poprzedniego zaś dnia najprzód witało na swojem posiedzeniu krakowskiego gościa Towarzystwo Naukowe, a następnie znakomity rektor Jagiellońskiéj wszechnicy, Józef Kremer, urządził u siebie wieczór na cześć Kraszewskiego, sprosiwszy w tym celu całe grono dziekanów i profesorów Almae matris. Spotkał się tam nasz gość z kilkoma niemiłemi sobie fizjonomjami w togach profesorskich, lecz bądź co bądź przybycie ich na ów wieczór zdradza głos sumienia, w którem nie mogą zagłuszyć hołdu dla męża takiego, jak Kraszewski!

W sobotę, 18. bm. przy natłoku publiczności odbył się odczyt p. Kraszewskiego w Muzeum Przemysłowem, jak wspomniałem. „O stanowisku kobiet w obec pracy narodowéj.“ Biletów brakło, wolnego miejsca nie było, tak że wiele osób z żalem z przede drzwi Muzeum powrócić musiało.

W niedzielę, jako w dzień imienin p. Kraszewskiego składano jak najliczniéj życzenia zacnemu solenizantowi. Stowarzyszenie Postępu przez delegatów wręczyło mu na pargaminie ozdobnie wykonane powinszowanie, opatrzone mnóstwem podpisów. Poprzedzający wieczór przepędził nasz gość w resursie mieszczańskiéj, gdzie również na jego cześć urządzono ucztę, a w niedzielę na odjezdnem przyjmowała p. Kraszewskiego u siebie redakcja Kraju wśród licznego grona zaproszonych gości. Uczta długo się przeciągnęła; na niéj wygłosił rozgłośny poeta El-y (p. Asnyk) wiersz, który następnie wydrukowano w Kraju z dnia 21 marca.

Akademicka młodzież w dowód hołdu i wdzięczności dla p Kraszewskiego ofiarowała mu album z adresem i mnogiemi podpisami.

Nie wymieniam prywatnych uczt, wydanych na uczczenie Kraszewskiego przez różne wybitniejsze osoby, tak, że mu żadnego prawie wieczoru ani objadu nie dano w hotelu przepędzić, gdy to jednak nie nosiło charakteru publicznego, do méj kroniki przeto nie należy. Że jednak gość nasz czas miał nader krótki, zobowiązań dużo, przytem czynił wyciągi z biblioteki Jagiellońskiéj a do Drezna ciągnęły go interesa wydawnicze, rozpoczęte prace, nie mógł więc dłużéj u nas zabawić, przyrzekając nagrodzić Kraków powtórnem niezadługo przybyciem.

Gdy już i drugiéj na dramatycznym konkursie uwieńczonéj sztuce mieliśmy się sposobność przypatrzeć i nasłuchać się zdania publicznego o obydwóch utworach scenicznych, przesyłam Wam sprawozdanie czysto kronikarskie, bynajmniéj nie mój sąd osobisty, lecz głos opinji publicznéj, która bywa najsłuszniejszym sędzią. Pan M. Bałucki dwiema swemi poprzednio przedstawionemi na scenie komedjami: „Polowanie na męża“, — „Radzcy pana radzcy“. zyskał sobie uznanie, zaś pan J. Narzymski nie miał dotąd sposobności zyskania rozgłosu u publiczności, dla tego gdy sędziowie konkursowi orzekli przyznanie pierwszéj nagrody p. Narzymskiemu za dramat: „Epidemja“, zaś p. Bałuckiemu za komedją: „Pracowici próżniacy“, drugą nagrodę, stronnicy pana Bałuckiego rzucili podejrzenie na słuszność wyroku, nie przypuszczając, aby w Krakowie mógł się kto znaleźć, króryby dla teatru zdołał coś lepszego napisać od ich uwielbianego autora. Publiczność zaciekawiona tłumnie zapełniła trzy pierwsze przedstawienia Epidemji, z entuzjazmem wywoływano powielekroć pana Narzymskiego, obsypując go hucznemi oklaskami. Z tutejszych dzienników „Czas“ oddał słuszność autorowi Epidemji, nie mógł mu jednak przebaczyć wystawienia na scenie dewotki (jakich wiele w Krakowie) i zepsutego wychowańca Jezuitów. Z tego powodu szukał „Czas“ dziury na całem, „Kraj“ zaś ocenił Epidemją z niezwykłą sprawiedliwością i znajomością sądzonego przedmiotu. Po upływie ośmiu dni czwarty raz Epidemję w teatrze zapowiedziały afisze i ku zdziwieniu dyrektora jak na ludność małą Krakowa, teatr się szczelnie zapełnił, znowu oklaskami grzmiącemi obsypano artystów, jak i autora, którego napróżno wywoływano, — zapewne nie było go w gmachu teatralnym.

Po tem wszystkiem rozumie się samo przez się, że z większą jeszcze niecierpliwością oczekiwano przedstawienia „Pracowitych próżniaków“; „Kraj“ głosił o rozkupieniu wielkiem miejsc numerowanych. Adoratorowie p. Bałuckiego pewni wyższości jego utworu nad dramatem p. Narzymskiego poprzynosili ze sobą bukiety kwiatów, chcąc obsypaniem niemi autora „Pracowitych próżniaków“ uczynić demonstrację przeciw wyrokowi sędziów konkursowych. Pierwszy akt minął przy ziewaniu publiczności, drugi ożywił uwagę, a trzeci zabawił, ale nie zrobił wrażenia. Oklaski spotkały p. Bałuckiego, ale bukiety schowano, gdyż każdy w duszy uznał sprawiedliwość wyroku sędziów.

Komedja: „Pracowici próżniacy“ budziła ciekawość, ubawiła, ale oczekiwania zawiodła, pomimo dowcipu, a zwłaszcza sarkazmu, z jakiego słynie p. Bałucki; zajmowała ona, bawiła głównie z powodu kilku typów czysto krakowskich, z nadaniem nawet zewnętrznéj charakterystyki znanych nam dobrze osób. Czwarte téj komedji przedstawienie nie zapełniło już zupełnie teatru, pomimo, że w odcinku Kraju przyjaciel p. Bałuckiego umieścił pochwałę nieograniczenie wielbiącą „Pracowitych próżniaków“, zowiąc tę komedją: „fenomenalną nowością, unikatem w literaturze komedji“, na jaką nie zdobył się jeszcze w Polsce „ani Fredro, ani Korzeniowski, Bogusławski, Chęciński, ani Kraszewski“ słowem — nikt. Lecz zostawiwszy pole do popisu z pochwałami przyjaciołom pana Bałuckiego, którzy eo ipso „Epidemją“ p. Narzymskiego okryć chcą cieniem, kreślę, co publiczność mówi o Epidemji:

Treść tego dramatu w 4 aktach osnuta jak wiadomo ze zamieszczonéj poprzednio recenzji, na wypadkach współczesnych z dziejów giełdy; pod względem budowy scenicznéj, zawiązania i rozwiązania intrygi, charakterów, nie pozostawia nic do życzenia. Język w nim piękny, czysty, rozmowa toczy się z niezwykłą płynnością, znajomość ludzkiéj natury tchnie z każdego słowa, a co nadewszystko temat i tendencja, jaką sobie autor założył, z niepospolitym talentem przez całą sztukę przeprowadzona. Epidemja zrobi wielkie wrażenie na każdym umyśle, czyli ją przedstawiać będą w Krakowie, Warszawie lub w innem mieście. Na dwa jedynie zarzuty ogólnie wszyscy się zgadzają, t. j. w pierwszym akcie owe nieco ckliwe, czułe sceny młodego inżyniera z narzeczoną i jéj mamą dobrodziejką, a w trzecim akcie scena udawanego na balkonie wykradzenia wcale nie potrzebna, psują cokolwiek całość, tembardziéj, gdy widzowie uprzedzeni z rozmów poprzednich, wiedzą o całym przebiegu sprawy i o jéj celu. Wybitne charaktery przeprowadzone są znamienicie, że mimowolnie utkwić nam muszą w pamięci; takie postacie, jak ojca rodziny, w tym dramacie, jak bankiera Goldschmita, jak dewotki i jéj syna, to nie jednostek portrety, lecz żywe obrazy współczesnéj naszéj społeczności.

„Pracowici próżniacy“, komedja w 3 aktach; tytuł wiele zapowiada, myśl znakomita, ale jéj wykonanie ledwo pobieżnie rzuconym szkicem nazwać można. Treści opowiedzieć nie podobna, rzecz się z sobą nie wiąże, figur dużo, dowcipu bardzo wiele, życia niebrak, ale budowy żadnéj nie ma. Można dokładać lub odejmować sceny całe, wprowadzać nowe postacie lub je wyprowadzać, całość się skróci lub przedłuży, ale braku czuć nie będzie, a chociaż przymiot ten recenzent Kraju

„pozorną decentralizacją akcji“ zowie, zawsze zwać się to będzie wadą, a nie zaletą. Pan Bałucki przedstawia w téj komedji ludzi, co nigdy czasu nie mają, zawsze czynni niezmiernie, a jednak nic nie robią, lecz w takim razie miejsce kąpielne dla nich obrał niewłaściwie. Do wód przecież jeżdżą chorzy dla kuracji, a zdrowi dla zabawy lub wytchnienia, wolno więc prawdziwie nawet pracowitym ludziom w kąpielach próżnować. Daléj, jak wiadomo, dla uwydatnienia charakteru dodatniego potrzeba ujemnego, kontrastami jedynie sprawia się właściwy efekt. Zgromadzone na scenę same cnoty znudziłyby z kretesem widzów, jak i odwrotnie, a „Pracowitym próżniakom“ nie zrobił autor przeciwstawienia. Jedyną postacią dodatnią ma być literat, który również nic nie robi oprócz romansu z mężatką, tylko moralizuje słowami, jak ksiądz kaznodzieja, który jednak w czynie przykładu nie daje. Właśnie życie w mieście najwięcéj dostarcza pracowitych próżniaków, obok których nabierają wartości owe pszczoły, mrówki, co cicho, bez rozgłosu pracują za wszystkich.

Wybitniejszemi postaciami w komedji téj są: bankier Propfstein, doktór i Prezesowicz, dewotka w zanadto słabym okazie, inne figury tożsamo w charakterystyce nierozwinięte. Satyra na stowarzyszenia niestosowna, bo wada naszych stowarzyszeń nie polega jedynie na sesyjkowaniu i prezesowaniu, lecz także tkwi w obiorze uprzywilejowanych a niezdolnych ludzi. Wszakże są stowarzyszenia niesłychanie użyteczne, choć mają prezesa, wiceprezesa i sekretarzy!

„Pracowici próżniacy“ p. Bałuckiego są, jak już powiedziałem, z talentem nakreślonym szkicem, lecz dopiero przeznaczonym do obrobienia, z którego może urość odpowiednia zadaniu komedja, ale gdyby autor zechciał się wziąć do niéj z zamiłowaniem

Przedstawienia teatralne mogły p. Bałuckiemu również wskazać błędy sceniczne, jak n. p. nagromadzenie wielu naraz osób na scenie, które nie wiedzą, co ze sobą począć, bo akcja chwilami tylko im wszystkim jest wspólna. —

Z ziemi Warmińskiéj.

Biedna Warmja!... Podczas gdy na Szlązku żywioł polski do nowego budzi się życia, o Mazurach zaś Towarzystwo Moralnych Interesów mieć pieczę przyobiecało, polska ludność na Warmji zapomniana, pozostawiona letargowi. A przecież jeżeli gdzie, to właśnie tu pomoc potrzebna... potrzebna gwałtownie, bo nigdzie poczucie narodowe pod wpływem kultury do tego stopnia uśpionem nie zostało, jak u polskiego ludu na Warmji. Lud ten pod względem poczucia narodowego podobien do złożonego ciężką chorobę cielska, przechodzącego w rozkład za życia.

Od inteligencji warmińskiéj niczego pod względem doprowadzenia ludu do samowiedzy narodowéj spodziewać się nie możemy; bo nieliczny zastęp, jaki polska ludność klasom inteligentnym dostawia, sam na wskroś jest zgermanizowany, tak iż n. p. pewien pan, który nawet kilka lat studjów uniwersyteckich spędził wśród Polaków, i który chłubi się niby to polskiem nazwiskiem, w rzeczy saméj zaś nierozdzielnem od niego słówkiem „von“, pojechał do Królewca, by jeńcom francuzkim tłomaczyć sprawiedliwość dalszego prowadzenia wojny ze strony „naszéj“ (t. j. Niemców) po katastrofie sedańskiéj i sprawiedliwość aneksji Alzacji i Lotaryngji. Kilku zaś innych Polaków warmińskich, należących do klasy inteligentnéj, właśnie bierze udział w przysposobieniu do godnego obchodzenia jakiejś uroczystości niemieckiéj, w dniu 22 b.m., bez zakrztuszenia śpiewając „Es lebe hoch Germania, unser theures Vaterland!“

Takie owoce wydaje zaszczepiona już w szkółce elementarnéj latorośl kultury. Nauczyciel, nieraz z urodzenia Polak, ale ucywilizowany w seminarjum, czuwa nad tem, aby dzieci berłu jego poddane, jaknajprędzéj zapomiały barbarzyńskiego języka ojczystego, a przyswoiły sobie język narodu cywilizowanego. Dzieci w szkole po polsku mówiące bardzo czułemi argumentami bywają zwracane na lepszą drogą.

Chłopiec wzięty ze szkoły elementarnéj i oddany do gimnazjum, nigdy już polskiego języka nie usłyszy, oprócz w gimnazjum brunsberskiem, gdzie dwie godziny tygodniowo po za planem przeznaczone dla języka polskiego, i to tylko dla uczniów klasy pierwszéj i drugiéj. Rozumie się, iż potrzeba tu bardzo wiele dobrych chęci, aby jakiekolwiek zrobić postępy.

Pełen wzgardy dla wszystkiego, co nie niemieckie — a więc barbarzyńskie, młodzieniec udaje się albo na uniwersytet, albo do Lyceum Hosianum w Brunsberdze; w pierwszym razie łączy się z Aenanją, Arminją, Winfrydją, lub podobnemi związkami niemieckiemi, w drugim dostaje się z natury rzeczy już pomiędzy Niemców; w obydwóch razach sposobności do zapomnienia tego, czego się w gimnazjum brunsberskiem może nauczył, ma aż nadto.

W ten sposób młodzieniec polskiego pochodzenia wstępuje w świat jako Niemiec, jako apostoł cywilizacji niemieckiéj.

Powtarzam więc: od inteligencji warmińskiéj niczego podwzględem doprowadzenia ludu do samowiedzy narodowéj spodziewać się nie możemy. Pomoc winna przybyć z zewnątrz, i zdaje mi się, że najodpowiedniéjszą byłoby tu drogą, gdyby Towarzystwo Interesów Moralnych wysłało kogoś, coby zbadał stosunki i do podźwignienia ludu polskiego na Warmji z moralnéj biedy podał środki. — Przedewszystkiem trzeba wzbudzić w ludzie tym świadomość, że jest polskim, wtenczas pozna on i upodlenie swe, jakiego ze strony cywilizatorów doznaje, i sam zacznie domagać się naturalnych swych praw. —

W numerze 12 Tygodnika znajduję dwa sonety św. p. Władysława Krenza. Prostując przypisek Szanownéj Redakcji o tyle, że św. p. Władysław nie poległ pod Paryżem dnia 21 października, lecz umarł w skutek rany w Wersalu, dnia 21 listopada, zwracamy uwagę Towarzystwa Literacko-słowiańskiego w Wrocławiu na pozostałe po św. p. Krenzu w manuskrypcie poezje, których wydaniem za pozwoleniem rodzeństwa Towarzystwo powinno się zająć na uczczenie pamięci zbyt rychło zgasłego utalentowanego członka. **J. Gl...**

O wolności politycznéj.

Krytyczne uwagi nad XI i XII księgą dzieła Montesquiego: „Esprit des Lois.“

Wykład publiczny w kwietniu 1868 r. w sali Tow. Nauk. Krakowskiego

przez

Dr. W. M. Olendzkiego.

(Dokończenie.)

Na ustroju organizacyjnym państwa angielskiego wsparty, czerpiąc wreszcie pomoc z dzieła Lockego „O rządzie cywilnym“ stawia Montesquieu te zasady wolności politycznéj, które następnie tak przeważną

rolę w losach państwa francuzkiego odegrały, i tylu nowemi idemai naukę polityczną wzbogaciły.

Z pomięszania pojęć niezależności i wolności, z identyfikowania władzy ludu i wolności ludu, powstała fałszywa idea, iż wolność polega na czynieniu, co się komu podoba; przeciw temu mylnemu zapatrywaniu powstaje Montesquieu, mówiąc, iż w państwie lub każdem towarzystwie rządzącem się prawami, wolność polega na czynieniu tego, co się chcieć powinno, i na nieobecności przymusu do czynienia tego, co się chceć nie powinno. Przeciwko téj definicji niktby nic powiedzieć nie mógł, lecz daléj mówi Montesquieu, iż wolność jest prawem czynienia wszystkiego, na co tylko ustawy rządzące pozwalają, co również jest słuszne, gdyż jeżeliby pojedynczy człowiek przeciw ustawom występował, to czyn jego byłby karygodną samowolą, gdyby zaś wszyscy wbrew ustawom postępowali, to ludzkość doszłaby do anarchji, „omnes legum servi sumus, ut liberi esse possimus“ mówi Cycero, pro Cluentio § 53, pomimo tego jeden z komentatorów Montesquieu'go, Janet, powstaje przeciw temu określeniu, utrzymując, iż to jest wielkie ograniczenie wolności, jeżeli koło jéj działań będzie ściśle ograniczane ustawami, ustawa bowiem może być despotyczną i nie dozwalać mi robić tego, co robić powinienem, n. p. mówi pan Janet, powinienem czcić Boga według mego sumienia, lecz ustawa nakazuje mi czcić go według sumienia panującego, czyż to będzie wolność? bezwątpienia nie! odpowiadamy tu p. Janet, lecz zarazem dodajemy, iż ustawy, o jakich on mówi, są możebne tylko w państwie despotycznem, a tam w żadnym wypadku wolności nie ma. Wolność bez ustaw bynajmniéj wolnością nie jest, lecz samowolą i anarchją z tyranją w odwodzie, p. Janet zapewnie o tem wiedział, jak niemniéj i to wiedzieć musiał, iż Montesquieu biorąc wzór z konstytucji angielskiéj, nie prawo z ustawy, lecz ustawę z prawa wyprowadzając, pojmuje przez nią każdy pojedynczy sformułowany akt woli narodu reprezentowanego w parlamencie, że zatem naród, wyjawiwszy w ustawie to, co chce, postępując według tego, najzupełniéj jest wolny.

„Wolność polityczna, według Montesquieu'go, jest tą spokojnością umysłu, jaka płynie z głębokiego przeświadczenia obywateli państwa i ich bezpieczeństwa.“

Żeby przeświadczenie to było realnie uzasadnione, potrzeba, aby układ organiczny państwa, czyli jak to pospolicie nazywamy, konstytucja, tego była rodzaju, aby nikt nie mógł nadużywać władzy, najlepiéj zaś zapobieży się nadużywaniu i ustanowi równowagę między najgłówniejszemi funkcjami życia państwowego, jeżeli władza będzie ograniczać władzę: — „Pour qu'on ne puisse abuser du pouvoir, il faut que, par la disposition des choses, le pouvoir arrête le pouvoir“ — Ponieważ władza ma ograniczać władzę, to widoczną jest rzeczą, iż władz w państwie jest kilka. Ztąd teorja o trzech władzach, znana w nauce politycznéj pod nazwiskiem: „Trias politica“ którą po Arystotelesie zaprodukował Locke, a po nim Montesquieu. Rozróżnia on, jak tylko co powiedzieliśmy, trzy władze, a mianowicie: 1) Władzę prawodawczą, 2) Władzę wykonawczą, w rzeczach dotyczących prawa międzynarodowego, i 3) Władzę wykonawczą w rzeczach dotyczących prawa cywilnego. Z mocy pierwszéj, nadają się państwu nowe, lub poprawiają stare prawa, z mocy drugiéj, wypowiada się wojnę lub zawiera pokój, wysyła się posłów i czuwa nad bezpieczeństwem kraju; z mocy zaś trzeciéj, karze się zbrodnie, przestępstwa i łagodzi spory między obywatelami kraju. Takie rozróżnienie władz nie jest ani nowe, ani też ze strony Montesquieu'go uzasadnione i usprawiedliwione. Ponieważ zaś nauka o władzach jest jedną z najzawikłańszych, pełnych przeciwieństw stron w prawie publicznem, to postaramy się przynajmniéj pobieżnie ją objaśnić, przedewszystkiem jednak, musimy doprowadzić do końca teorją Montesquieu'go. Jeżeli więc zasługą jego nie jest oryginalność i rzucenie nowego światła na ugrupowanie władz w państwie, to ma on bezwątpienia niezmierną zasługę, z zupełnie oryginalnie i śmiało postawionéj zasady podziału tych władz.

„Jeżeli król lub jaka inna magistratura, mówi Montesquieu, w osobie swéj łączyć będzie władzę prawodawczą i wykonawczą, to wolności tam nie będzie, król bowiem lub magistratura będzie miała moc nadawania despotycznych praw, aby je potem despotycznie wykonywać; wolności również nie będzie, jeżeli władza sądownicza leżeć będzie w rękach, sprawujących już władzę prawodawczą i wykonawczą, jeżeli bowiem sędzia będzie zarazem prawodawcą, to życie i mienie obywateli zależeć będzie od jego samowoli, jeżeli zaś sądownictwo połączone będzie z władzą wykonawczą, to sędzia będzie miał moc uciskania wszystkich.“ Największe zaś niebezpieczeństwo dla wolności a nieszczęście dla całego kraju, widzi Montesquieu słusznie w połączeniu wszystkich trzech władz w jednéj osobie. — „Słaby promień wolności oświeca nasze europejskie monarchje, mówi Montesquieu, ponieważ monarchje te tak są umiarkowane, iż jedna przynajmniéj władza, t. j. sądownicza oddzieloną jest od dwóch innych, w Turcji zaś, w rzeczachpospolitych starożytnych i państwach włoskich, w średnich wiekach, gdzie wszystkie władze w jednym leżą ręku, panuje okrutny despotyzm.“ — Co do rozdziału sądownictwa od władz prawodawczych i wykonawczych, to wymagał go już Bodin w XVI wieku, rozdział ten od czasów średniowiecznych był rzeczą dokonaną, Montesquieu jednak tem się nie zadawala, chce on jeszcze rozdziału władzy prawodawczéj od wykonawczéj, a niepomny na to, iż z mocy konstytucji angielskiéj, która mu zawsze za model służy, władza prawodawcza należy do króla w połączeniu z parlamentem, chce on tak zupełnego rozdziału, aby władza prawodawcza należała wyłącznie do ludowego zebrania, władza zaś wykonawcza do króla, t. j. życzy on, aby żywioł i zasada republikańska, uosobioną została w ciele prawodawczem, żywioł zaś i zasada monarchiczna, we władzy wykonawczéj. Zjednoczenie władz prowadzi do despotyzmu, podział ich zaś jest rękojmią wolności. Konstytucja angielska jest opartą na podziale władz i dla tego właśnie naród angielski cieszy się wolnością. Takie postawienie zasady podziału władz, jest bezwątpienia najgenjalniejszem miejscem w dziele Montesquieu'go, jest ideą zupełnie nową i zbawienną, zastosowanie jednak zasady téj w systemie teoretycznym wywołuje logiczne sprzeczności, przeprowadzenie jéj zaś konsekwentnie w praktyce, jak to Rousseau i Sieyes przygotowali, sprowadza właśnie te okropne rezultaty, jakie w organizacji i postępowaniu wielkiéj francuzkiéj rewolucji widzimy. Rozróżnienie władz, jak to powiedzieliśmy, jest tak stare, jak filozoficzne traktowanie nauki o państwie, zapatrywanie się jednak na tę kwestją od końca zeszłego wieku takie mnóstwo pomięszanych pojęć i sprzeczności, powstających z dowolnie obieranego punktu widzenia rzeczy, sprowadziły, iż trzeba było wiele pracy, aby z tego w literaturze politycznéj powstałego chaosu, dojść było można do przybliżonéj prawdy. Zapatrywania francuzkie potworzyły taką ilość władz, iż każda nawet najpodrzędniejsza dykasterja władzą nazwać się mogła; ztąd poszło 1) iż zapoznawszy istotę państwa, wyprowadzano go z pojęcia władzy, nie zaś władzę z pojęcia państwa, 2) iż porozdzielawszy władzę sposobem nieograniczonym, i nie wytknąwszy im punktu organicznego, zkąd wychodzą i gdzie się jednoczą, sprowadzono wojnę władz, któréj najlepszem uplastycznieniem są posiedzenia parlamentarne wielkiéj rewolucji.

Zapatrywania niemieckie jeszcze większy zamęt wywołały. Twórcy filozoficznego a pozytywnego prawa publicznego, których moc jest nieprzeliczona, stoją jedni, np. Heidenreich i Hufeland na stanowisku „Trias politica“ Arystotelesa, drudzy, jak np. Schlözer na stanowisku francuzkiem, t. j. mnogości władz, inni jak Gönner i Klüber, mieszają pojęcie władz z pojęciem regalji i praw zwierzchności lennych, są jeszcze inni, jak np. Maurenbrecher, a po części Henryk Zachariäe, którzy zupełnie dowolnie utworzonych wyrażeń używają. Wszyscy zaś wykazują oczywisty brak tych pojęć, jakie dopiero najnowszéj nauce politycznéj zdobyć dane było.

Do zdobyczy tych należy przedewszystkiem 1) pojmowanie państwa, jako istoty organicznéj, różniącéj się tem od innych organizmów, iż części jego składowe, są również zupełnemi organizmami. 2) postawienie różnicy między ustawą a rozporządzeniem. 3) postawienie i uzasadnienie różnicy między władzą prawodawczą i wykonawczą z jednéj strony, pomiędzy zaś władzą wykonawczą a prostą administracją z drugiéj. 4) wystawienie zasady monarchicznéj jako punktu wyjścia i jedności wszech-funkcji państwowych. Podawszy Szanownéj Publiczności te cztery główne punkta, charakteryzujące stanowisko najnowszych badań politycznych, postaramy się teraz w kilku słowach dać obraz teorji o władzach. Nie mając czasu ani na krytyczny rozbiór definicji państwa, ani też na usprawiedliwienie drogą induktywnéj syntezy naszéj osobistéj definicji, wypowiadamy wprost, iż stan towarzyski osiadłego ludu, wyniesiony do postaci osobistéj jednolitego organizmu, nazywamy państwem. Osobistość ta żyje, a znamionami jéj wyższego życia jest samowiedza, mocą któréj chce, a to, czego chce, wykonywa. To, czego państwo chce, t. j. jego wola i to, czego ono dokonywa, t. j. czyn, są dwiema kardynalnemi czynnościami jego organicznego życia, od których wszystkie inne zależą. Obie te czynności, stojąc w bezpośrednim wzajemnym stosunku, dopełniać się i harmonizować muszą, tak bowiem, jak istność czynu zależy od woli, tak wola ze swéj strony urzeczywistnienie dopiero w czynie znajduje.

W organizmie państwowym, czynności nazywamy władzami, osoby zaś, reprezentujące te władze, ich organami. Czynność czyli, jak to już powiedzieć możemy, władza, mocą któréj państwo wolę swą wyjawia, jest prawodawstwo, każda wola pojedynczo sformułowana jest ustawą, zbiór zaś takich ustaw jest pozytywnem w kraju obowiązującem prawem, tworzącemi zaś ustawy organami, są reprezentanci ludu w parlamencie. Oto jest władza prawodawcza, grająca w państwie najgłówniejszą rolę. Obok niéj jednak musi istnieć druga jeszcze władza, któréjby zadaniem było urzeczywistnienie czynne wyjawionéj woli, wykonywające ją tak w zewnętrznych kolejach i objawach zbiorowego życia państwowego, jak też w stosunku do świata fizycznego i dóbr jego, których przeznaczeniem jest służyć celom człowieka. Czynność tę, urzeczywistniającą wolę państwa, ten jego czyn zbiorowy, nazywamy władzą wykonawczą, któréj organami są: ministerja państwa i wszystkie od nich zależne urzędy. Władza wykonawcza jest organem siły państwa jako takiéj, różną zaś od niéj jest czysta administracja, która osobną władzą nie jest, lecz tylko momentem władzy wykonawczéj, którym ona stykając się z objektami, na które wola państwa jest skierowaną, takową konkretnie urzeczywistnia. Tak tedy mamy gotowe pojęcia o dwóch władzach. Różnica, lepiéj powiedzmy, podział ich jest tylko zewnętrzny, wewnętrznie pochodzą one z jednego źródła, t. j. z łona państwa, w którem takie zespolenie znajdują. Podział zewnętrzny, jaki Montesquieu uczynił, jest słuszny, o ile tylko dotyczy organów władz. Błędem zaś jego jest, iż nie mając świadomości zasady monarchicznéj, władze w ten sposób podzielił, iż te nie mając właściwego łącznika, stojąc zupełnie odosobnione, zbyt łatwo konflikt zawiązać mogły, którego rozwiązanie zakończyćby się koniecznie musiało przewagą jednéj z nich, a w logicznem następstwie nową unifikacją. Cóż zatem jest tym koniecznym łącznikiem władz, materjalnym ich punktem wyjścia? na to pytanie odpowiadamy, iż łącznikiem tym jest istota samego w sobie i dla siebie trwającego pierwiastka państwa, to czysto od przedmiotowości niezależne ja, którego organem w państwie jest „suprema potestas,“ głowa państwa, w monarchji nazywająca się: Król.

Montesquieu o téj głowie państwa nie zapomina; odrywając jednak od niéj bezwzględnie udział we władzy prawodawczéj i stawjając ją wyłącznie na czele władzy wykonawczéj, uwzględnia tylko połowę jéj stanowiska, czegoby niczem i nikt usprawiedliwić nie zdołał, czego też Montesquieu nie usprawiedliwił. Widzimy ztąd, że jeżeli nieśmiertelną zasługą Montesquieu'go jest pierwsze postawienie zasady podziału władz, to nie jest nią bynajmniéj ścisłe przeprowadzenie. Montesquieu czuł widocznie ten błąd swego systemu, czuł on ten brak łącznika władz i starał się temu zapobiedz, niestety jednak i tą razą bezowocnie, jak się zaraz przekonamy.

Władza prawodawcza, mówi on, należy do ludu, ponieważ jednak zbiorowe branie udziału w obradach jest materjalnie i moralnie niepodobne, to miejsce ludu w parlamencie, zastępują jego reprezentanci. Ponieważ w każdem państwie znajduje się znaczna ilość ludzi, znakomitych urodzeniem i bogactwem, których reprezentanci w tłumie reprezentantów ludu zniknęliby bez śladu, ponieważ w skutku tego wspólna wolność większości byłaby niewolą dla nich, potrzeba przeto, aby mieli osobnych swych reprezentantów, zasiadających w osobnéj izbie. Tak tedy widzimy, że Montesquieu uwzględniając we władzy prawodawczéj element reprezentancyjny i element niezbędnéj arystokracji, wypowiada dwie nowe, wielkiéj doniosłości, a po jego czasy na kontynencie nieznane idee. Nieszczęściem jednak obok tych wielkich prawd, usadowił się znowu trudny do pojęcia fałsz.

Montesquieu bowiem mówi: „Z trzech przytoczo-„nych władz, władza sądownicza nie jest jeszcze w rze-„czywistości żadną osobną władzą (zupełnie słusznie) „lecz daléj: pozostałe dwie władze potrzebują regula-„tora, a nim jest z natury rzeczy część ciała prawo-„dawczego, złożona ze szlachty, t. j. izba panów.“

Powiedzenie to jest piękne i słuszne, ale wcale nie we względzie, jaki Montesquieu ma na oku. Zasiadająca w izbie wyższéj arystokracja kraju, jest rzeczywiście pośredniczacą, lecz tylko w rzędzie elementów władzy prawodawczéj, t. j. między izbą reprezentantów ludu i królem proponującym i sankcjonującym przedyskutowane prawa. Ponieważ jednak według systemu Montesquieu'go, król elementem władzy prawodawczéj nie jest, lecz tylko głową władzy wykonawczéj, to wypada według niego, co też wyraźnie utrzymuje, iż arystokracja jest łącznikiem pomiędzy władzą prawodawczą a wykonawczą. Nie pojęlibyśmy nigdy, na jakich podstawach łącznikiem pomiędzy władzami zrobił Montesquieu arystokracją, gdyby nie ta rzucająca się w oczy okoliczność, ten drugi błąd Montesquieu'go nas nie objaśniał, iż on w tem miejscu, jakby dla wyjścia z koła sprzeczności, dwie różne zupełnie rzeczy identyfikuje, t. j. formy mięszane rządu i zasadę podziału władz. Zasada podziału władz jest znaną na kontynencie dopiero od Montesquieu'go, mięszanie zaś trzech form pojedynczych państwa, t. j. monarchji, arystokracji i demokracji, aby utworzyć czwartą formę mięszaną, jest stare jak świat. Pisał o niem Plato, Arystoteles, Polibjusz i Cycero, Tomasz z Akwinu i Erazm z Rotterdamu, pisał o niem zuchwały polityk, Machiawelli, nawet Jezuici, słowem napisano się o niem dość, nikt jednak nie wpadł na dość zabawną myśl porównania formy państwa z jedną

z władz jego, nawet z jednym tylko organem władzy. Montesquieu to uczynił, dowodząc, iż nawet genjalne myśli z fałszem łącznie występować mogą.

Wykazaniem tych dwóch usterek, wielkości całego dzieła uwłaczać bynajmniéj nie mieliśmy zamiaru; znaczenie jego najlepiéj się nam uwydatni, jeżeli sobie przypomnimy, iż ono powstało pośród spodlonego niewolą społeczeństwa, pośród ludzi, u których choleryzm zastępował — czynną energją ducha, fałsz zewnętrznego blasku, — głębinę prawdy, brudne instynkta, — potęgę miłości, zawiść — wielkość duszy, a intrygi — mądrość. Społeczeństwo takie, gdzie poszanowanie godności osobistéj, było rzeczą nieznaną, gdzie najświętsze stosunki były hańbione, gdzie tyranja z góry podzieliła całość na ciemięzców i ciemężonych, przemienić się musiało w jednę wielką stajnię Augjasza, na oczyszczenie któréj z Centaurów despotyzmu, potrzeba było zaprawdę tytanicznych sił, do utworzenia których Montesquieu niewątpliwie się przyczynił.

Na tem wykład nasz zakończyć musimy, jakkolwiek uzasadnienie niektórych, zaledwie wspomnianych pojęć, jak np. „Partji politycznych" „Arystokracji" itp. ze względu na fałsze, jakie społeczeństwo nasze i cały zardzewiały konstytucjonalizm w Europie w tym względzie wyznaje, byłoby tu bardzo na miejscu. Możeby też należało usprawiedliwić wybór cokolwiek za ciężkiego przedmiotu. Nie uczynimy tego jednak, jeżeli bowiem sam przedmiot za sobą nie przemówi, to tem mniéj jeszcze upopularyzowałyby go moje słowa. Dodam tylko, iż wchodząc po raz pierwszy na stopnie téj katedry, z któréj najpierwsze powagi naukowe naszego kraju przemawiać zwykły, o sprawieniu wrażenia myśleć nie mogłem.

Cel mój był zupełnie inny, a cel ten określę najlepiéj następującemi słowami Feuerbacha: „Najlepsze, co człowiek zrobić może, nie jest to, co on robi, lecz to, co w dzielnych i szlachetnych duszach do myślenia pobudzi." —

Odpowiedź na zarzuty Tygodnika Katolickiego z powodu artykułu pod napisem: „Przyszłość Psychologji."

W nadesłanym mi 8 nr. Tygod. Katolickiego znalazłem artykuł bezimienny, wymierzony przeciw pierwszéj części rozprawki p. t.: „Przyszłość Psychologji." Artykuł ten, będący wyrazem silnego rozdrażnienia, jest napisany w tego rodzaju formie, że jeśli to, co zawiera, może komu ubliżać, to chyba najwięcéj samemu Autorowi, w którym nie śmiem się domyślać osoby duchownéj, tak dalece ogólny ton tego artykułu wydaje mi się niezgodnym i z powagą sukni kapłańskiéj i z duchem religji, któréj broni.

W ogóle mam zwyczaj wchodzić w polemikę tylko z tymi krytykami moich pism, którzy dają dowód, że są w stanie prowadzić dyskusją, nie używając ulicznych wyrażeń i nie stawiając na pierwszem miejscu swego własnego interesu lub interesu swojéj kasty. Dla tego też nie odpowiadałbym na podobne napaści, które tylu ludzi bez porównania wyższych odemnie nauką i stanowiskiem przyjmuje obojętnem milczeniem*), gdyby nie zarzut uczyniony Tygodnikowi Wielkopolskiemu, że zamieścił artykuł pełen fałszów, zdaniem szanownego oponenta.

Jestem zawsze wdzięczny tym, którzy mi błędy wykazują, ponieważ przez to dają mi nadzieję popełniania ich coraz mniéj w przyszłości. Ale posłuchajmy owych zarzutów:

„Autor w artykule „Przyszłość Psychologji": popełnia sprzeczność następującą:

W ustępie jednym mówi o odsunięciu na bok kwestji metafizycznych i teologicznych, dotyczących nadziemskiéj istoty duszy, jéj boskiego pochodzenia, jéj przeznaczenia w wieczności i t. d. i t. d."

„„Pozostanie nam jeszcze cały świat zjawisk pozytywnych, więcéj dotykalnych a mniéj eterycznych. Niech metafizycy i teolodzy bujają w sferach nadziemskich, my pozostaniemy tu, gdzie nam pochodnia obserwacji przyświeca, i niech będą spokojni — nie pobijemy się o nasze teorje.""

„Z tych słów wnosimy, że autor obrał sobie za przedmiot tak zwaną psycholopją empiryczną, czyli doświadczalną, i że pominie, jak sam twierdzi, kwestją o istocie duszy, czyli metafizykę. — Aliści ledwie to wyrzekł, zaraz w słowach tuż następujących, kłam zadaje słowom własnym; mówi bowiem o duszy po za tym światem, a zatem porusza kwestją metafizyczną. Cóż sądzić o stronie naukowéj takiéj rozprawy? Gdzie tu logika? poważanie i szanowanie własnéj godności pisarskiéj?"

Powiedziawszy to szanowny recenzent, wnioskuje, że we mnie siedział djabeł, i że ten był przyczyną nielogiczności.

Przedewszystkiem upraszam Szanownego Exorcystę, ażeby (jeśli jeszcze zechce kiedy zaszczycić mnie trzechszpaltową nauką moralną), zanim się zabierze do wyżegnania ze mnie djabła, nie podstawiał za moje słowa swoich wyrazów, czy też wpłynął na zecera, ażeby unikał podobnych omyłek, jak podstawienie w zacytowanym ustępie mojéj pracy wyrazu teolodzy, zamiast marzyciele a teorje zamiast terytorja*). Nie potrzebuję dodawać, o ile takie podstawienie zmienia treść ustępu. „Nie pobijemy się o nasze terytorja", to znaczy, my pozytywiści, nie będziemy zazdrościli marzycielom: świata marzeń, tak jak oni nie zazdroszczą nam: świata zjawisk. Ale czyż to znaczy, że nie pobijemy się o nasze teorje?! Czyżby wreszcie szanowny oponent uważał wyrazy: „teolog" i „marzyciel" za jednoznaczne?... Nie śmiem przypuszczać. — Uczyniwszy to zastrzeżenie, nie mogę nie wyrazić mego zadziwienia... (jakby bo powiedzieć delikatnie?...) nad cywilną odwagą szanownego oponenta. Ani bowiem w następnych zaraz wierszach, ani w następujących ustępach, ani pod koniec rozprawki nie rozbierałem żadnéj kwestji metafizycznéj, ani istoty duszy, ani kwestji jéj bytu po za światem, jak się wyraża autor, przez co znalazłbym się w opozycji z poprzedniemi słowami, chociaż te, jakto każdy nierozdrażniony czytelnik spostrzegł od razu, odnosiły się nie do treści mojéj rozprawki, ale do zakresu przedmiotu psychologji w ogóle**). Nie śmiem zaś przypuścić, ażeby szanowny oponent przez „poruszanie kwestji metafizycznych" miał rozumieć wzmiankę o przedwiekowym wpływie na tłumy — pojęć psychologicznych: „Pojęcia psychologiczne niegdyś wstrząsały umysłami. Przeczucie nieśmiertelności tworzyło bohaterów i wiodło na śmierć męczenników i t. d." Albo może owym rozbiorem kwestji metafizycznych, była apostrofa do metafizyków: „Przestańcie

*) Dość mi tu wspomnieć o J. I. Kraszewskim, który w tymże samym numerze Tygodnika Katolickiego napastowany jest w grubych słowach za rozszerzanie zatrutéj strawy nowoczesnego liberalizmu. Cóż z tego, że Kraszewski nigdy nie pisał przeciw religji, ale pisał przeciw nam nietykalnym... to wystarcza, ażeby błotem obrzucić narodową zasługę...

*) Obacz Tygodnik Wielkopolski num. 7, szpalta 2.

**) Ob: Początek artykułu, ustęp 1, 2 i 3.

przelewać z próżnego w próżne. Nie rozprawiajcie o istocie ducha, nie znając jego objawów, nie rozmyślajcie nad tem, co będzie robić po śmierci, nie znając jeszcze tego, co robi na ziemi.“

Idźmy daléj:

Szanowny oponent wmawia we mnie, że napadam na Kościół, jakkolwiek obiecałem go bronić, i jeszcze pod koniec artykułu, wylawszy całą gorycz swego serca, woła: „Piękna mi obrona! Od takich obrońców zachowaj nas Panie!“

I znów nie wiem, czemu przypisać podobne qui pro quo. Nigdym nie oświadczał, że myślę bronić kościoła, choćby dla tego, że niebrak mu gorętszych odemnie obrońców, a w szczególności nie miałem żadnego powodu oświadczać tego w artykule: „O przyszłości psychologji.“ Broniłem tylko psychologji od nacisku absolutnego dogmatyzmu, oświadczając przytem, że nie napadam na wiarę, którój wolność szanuję zarówno, jak wolność myśli, jak wolność sumienia.

Szanowny „Szeregowiec“ utrzymuje, że „kościół katolicki nigdy badań nie zakazywał.“ Szkoda, że nie wskazał zarazem, co rozumie przez badanie, i jakichto mianowicie badań kościół nie zakazywał, bo że były takie, które zakazywał, o tem wie dobrze choćby z historji Galileusza. U nas, w naukach świeckich, badaniem nazywamy dochodzenie prawdy, mające za punkt wyjścia wątpienie, a za cel pewność doświadczalną lub rozumową; do tego celu badacz powinien zmierzać bez żadnych uprzedzeń, nie oglądając się na żadną teorją filozoficzną lub teologiczną. — Dajmy na to, że kościół nigdy nie zabraniał takich badań, dajmy na to, że nie spalił na stosie ani jednego filozofa — przypuszczam, że tak jest, i nie myślę wchodzić w dalszą polemikę w tym przedmiocie.

Pan „Szeregowiec“ zarzuca mi, żem zacytowawszy słowa Tertuljana, takowe „przekrzywił, przekręcił i sfałszował umyślnie w celach swoich, ażeby niemi okrasić twierdzenia zuchwałe.“ Przytaczam oba texty dla łatwiejszego porównania:

„Nobis curiositate opus non est, post Christum Jesum; nec inquisitione post Evangelium. Cum credimus, nihil desideramus ultra credere. Hoc enim prius credimus, non esse quod ultra credere debeamus.“	„My od czasów Jezusa Chrystusa nie potrzebujemy żadnéj ciekawości; wszelkie badania są zbyteczne, skoro mamy Ewangelją. My nawet nie powinniśmy szukać prawdy po za nauką Chrystusa. Chrześcianin nie ma badać, lecz wierzyć.“

I to się według p. Recenzenta nazywa „przekrzywieniem, przekręceniem i sfałszowaniem.“ Sapienti sat.

P. „Szeregowiec“ nazywa sfałszowanem zdanie Tertuljana, że „Chrześcianin nie ma badać, lecz wierzyć“, — ponieważ, jak mówi, Tertuljan „każe owszem szukać prawdy... poganom!! — Przeczy, jakoby „kościół badań zakazywał“, ale przyznaje, że „Chrześcianom, jako takim zakazuje, by nie szukali prawd takich, jakie już objawione, a mianowicie: Unde malum? et quare? et unde homo, et quomodo? i t. d.“ To znaczy: wolno być moralistą, ale niewolno pytać, zkąd złe pochodzi; wolno być geologiem, ale niewolno pytać, zkąd i jakim sposobem powstała ziemia; wolno być antropologiem, ale niewolno badać powstania człowieka; wolno być filozofem, (jakkolwiek Tertuljan mówi wyraźnie w tymże ustępie z którego wyjątek podałem: „Cóż ma wspólnego filozof z Chrześcianinem? przyjaciel z przeciwnikiem fałszu, akademja z kościołem i t. d.“); wolno więc być filozofem i psychologiem, ale niewolno rozbierać kwestji istoty duszy, kwestji nieśmiertelności, kwestji wolności woli i t. d. i t. d., ponieważ te kwestje są już objawione stanowczo i bez apelacji do rozumu.

P. „Szeregowiec“ mówi, że Tertuljan nie jest Ojcem kościoła, lecz tylko pisarzem kościelnym, że zatem nie wszystkie jego zdania są przez kościół przyjęte — dla czegóż więc rzuca się na mnie z taką gwałtownością, jako na najeźdzcę Kościoła, skoro ja zaczepiałem tylko Tertuljana i tych, którzy tak wierzą jak on, a których może sam Kościół potępił z wielu względów. —

W ogóle napaść szan. Szeregowca jest dla mnie naturalnym, ale niemniéj ciekawym objawem psychologicznym; i w najdrobniejszych szczegółach służyć może za doskonały przykład, jak dalece podraźnienie naszych uczuć tradycyjnych i egoistycznych, wprowadzając umysł w stan gorączkowy, przeszkadza spokojnéj uwadze i rozwadze. Tak pojmując przedmiot niniejszéj mojéj odpowiedzi, nie mam do szan. „Szeregowca z pospolitego ruszenia“ najmniejszego żalu za zrobienie mnie opętanym od djabła, fałszerzem, rozsiewaczem jadu moralnego i niewiem, czem tam jeszcze... Rzucanie się jego jest objawem patologicznym, równie usprawiedliwionym siłą tradycyjnego nałogu, jak usprawiedliwiona jest duchem czasu moja gorąca miłość swobody myśli i wolności sumienia. Dziwi mnie tylko, że pismo tak poważne, za jakie przynajmniéj tu u nas uchodzi Tygodnik Katolicki, i który innym tak dosadnie zarzuca brak powagi, samo nie zdobyło się na przyzwoitszą krytykę, i że autor pierwszego podjazdu, głosząc, że walczy w obronie prawdy, uznał jednak za właściwe ukryć swoje nazwisko.

W chwili, gdy to piszę, zapewne już owa armja „teologicznych gwardzistów z artylerją pozycyjną, silną i dobrze uzbrojoną“, którój szan. Szeregowiec podjął się forpocztować — stanęła w szyku bojowym i wyruszyła na moją zagubę. Nec Hercules contra plures! — ale uprzedzam, ażeby dla oszczędzenia sobie hałasu i wstydu, nabili swe armaty zdrową logiką; wówczas za każdą odebraną ranę nie przestanę być wdzięcznym — po wyleczeniu.

Warszawa 10 marca 1871.

Juljan Ochorowicz.

Skrzynka do listów.

P. Pestrupp w Buenos Aires: Wysyłając Tygodnik Wielkopolski, załączamy braterskie pozdrowienie. — O buncie naszych rodaków w szeregach pruskich, o którym rozpisują się Wasze dzienniki, nic nam tu niewiadomo. — Natomiast motłoch niemiecki powybijał u nas szyby we wielu domach polskich, które używając wolności konstytucyjnéj, nie iluminowały wieczorem dnia 22 marca, jako w dzień urodzin cesarza Wilhelma.

P. Fr... Ol... w Raciborzu: Pod dniem 22 marca wysłaliśmy stos książek na jego ręce dla współbraci Szlązaków.

P. S... W... w Poznaniu: Nadesłany nam wiersz jest śliczny — lecz dosłownie przepisany z Lenartowicza. Nie żywiąc zaś naszych Czytelników przedrukami, mocno żałujemy, że Jego próbki kaligraficznéj zamieścić nie możemy. — Osobnéj odpowiedzi nie przesyłamy, ponieważ na tego rodzaju korespondencje mamy Skrzynkę; — po sześciofenygową markę, załączoną w liście, wolno się zgłosić w biurze redakcji. —

Odpowiedzialny redaktor i nakładca Edmund Callier. — Czcionkami drukarni Ludwika Merzbacha w Poznaniu.